

Miasto zagubionych duszy



Cassandra
Clare

Miasto zagubionych dusz

**Tom V cyklu „Dary Anioła”
Fragment**

Przełożyła Anna Reszka

Wydawnictwo MAG

Warszawa 2012

Nao, Davidowi i Benowi

„Żaden człowiek nie wybiera zła, ponieważ jest zły. On jedynie mylnie bierze je za szczęście, gdy szuka dobra”.

– Mary Wollstonecraft

Prolog

Simon stał i gapił się tępo na frontowe drzwi swojej kamienicy.

Nie znał innego domu. To tutaj rodzice przynieśli go, kiedy się urodził. Dorastał w murach tego szeregowca na Brooklynie. Latem bawił się na ulicy w cieniu drzew, zimą robił sobie prowizoryczne sanki z pokryw pojemników na śmieci. W tym domu jego rodzina odprawiała sziwę po śmierci ojca. Tutaj po raz pierwszy pocałował Clary.

Nie wyobrażał sobie dnia, że drzwi domu będą dla niego zamknięte. Ostatnim razem, kiedy widział matkę, nazwała go potworem i błagała, żeby sobie poszedł. Rzucił na nią czar zapomnienia, że jej syn jest wampirem, ale nie wiedział, jak długo urok okaże się skuteczny. Kiedy teraz stał w chłodnym jesiennym powietrzu, gapiąc się na kamienicę, zrozumiał, że nie dość długo.

Drzwi były pokryte symbolami: gwiazdami Dawida namalowanymi farbą, wyrytym znakiem Chai, oznaczającym życie. Do gałki i kołatki przywiązano tefilin. Wizjer zasłaniała hamsa, Ręka Fatimy.

Simon odruchowo dotknął metalowej mezuzy przymocowanej do prawej strony futryny. Z miejsca, gdzie jego ręka dotknęła świętego przedmiotu, uniósł się dym, ale on sam nic nie poczuł. Żadnego bólu. Tylko w duszy straszliwą konsternację, powoli przeradzającą się w zimną wściekłość.

Kopnął w drzwi.

– Mamo! – krzyknął. – Mamo, to ja!

Żadnej odpowiedzi, tylko echo jego głosu w głębi domu i szczęk zasuw. Wydawało mu się, że słyszy ciche kroki matki i jej oddech, ale nie odezwała się słowem. Nawet przez drewno czuł kwaśny zapach strachu i paniki.

– Mamo! – Głos mu się załamał. – Mamo, to śmieszne! Wpuść mnie! To ja, Simon!

Drzwi zadrżały, jakby matka w nie kopnęła.

– Odejdź! – Jej głos był ochryply z przerażenia, prawie nie do rozpoznania. – Morderca!

– Ja nie zabijam ludzi. – Simon oparł głowę o drzwi. Mógłby je pewnie wyważyć kopniakiem, ale po co? – Mówiłem ci. Piję zwierzęcą krew.

– Zabiłeś mojego syna! – wykrztusiła matka. – Zabiłeś go i podstawiliś potwora na jego miejsce.

– Ja jestem twoim synem...

– Masz jego twarz i mówisz jego głosem, ale nim nie jesteś. Nie jesteś Simonem! – Jej głos wzniósł się niemal do krzyku. – Wynoś się z mojego domu, zanim cię zabiję, potworze!

– Becky. – Simon przyłożył dłonie do mokrej twarzy, a kiedy je odjął, zobaczył, że są całe w czerwonych plamach. Jego łzy były krwawe. – Co powiedziałaś Becky?

– Trzymaj się z daleka od swojej siostry.

Simon usłyszał dobiegający z wnętrza domu łoskot, jakby coś się przewróciło.

– Mamo – powtórzył, ale tym razem głos wydobył się z jego gardła jako ochryply szept. Ręka zaczęła boleśnie mu pulsować. – Muszę wiedzieć... Jest Becky? Mamo, otwórz drzwi. Proszę...

– Trzymaj się z daleka od Becky! – Simon usłyszał, że matka cofa się od drzwi.

Potem rozległo się znajome skrzypnięcie kuchennych drzwi i trzeszczenie podłogi. Odgłos

wysuwanej szuflady. Simon wyobraził sobie nagle, że matka chwytą nóż.

Zanim cię zabiję, potworze.

Na tę myśl aż się zachwiał. Gdyby go zaatakowała, do głosu doszedłby Znak. Zabiłby ją, tak jak wcześniej zniszczył Lilith.

Simon opuścił rękę i cofnął się powoli. Chwiejnie zszedł po schodach i ruszył chodnikiem. Przywarł do pnia jednego z dużych drzew, które ocieniały przecnicę. Stał tam długo, wpatrując się w drzwi swojego domu, pomazane i zeszpecone świadectwami matczynej nienawiści.

Nie, poprawił samego siebie. Matka nie darzy go nienawiścią, tylko uważa, że jej syn nie żyje. To, czego ona nienawidzi, nie istnieje. Nie jestem tym, za kogo ona mnie bierze.

Simon nie wiedział, jak długo stałby odrętwiały pod drzewem, gdyby w kieszeni jego płaszcza nie zaczęła wibrować komórka.

Sięgnął po nią odruchowo i zauważył, że na wnętrzu dłoni wypalił mu się wzór z mezuzy – przeplecione ze sobą Gwiazdy Dawida. Przełożył telefon do drugiej ręki i przystawił go do ucha.

– Halo?

– Simon? – To była Clary. Zdyszana. – Gdzie jesteś?

– W domu... – Zawahał się i poprawił: – W domu mojej matki. – Własny głos brzmiał głucho i obco w jego uszach. – Dlaczego jeszcze nie wróciłaś do Instytutu? Wszystko w porządku?

– Tak – odparła Clary. – Zaraz po twoim odejściu Maryse wróciła z dachu, gdzie miał czekać Jace. Nikogo tam nie było.

Simon ruszył przed siebie. Nie zdając sobie z tego sprawy, jak mechaniczna lalka, zaczął iść ulicą w stronę stacji metra.

– Co to znaczy, że nikogo tam nie było?

– Jace zniknął – powiedziała Clary z napięciem w głosie. – Sebastian też.

Simon zatrzymał się w cieniu nagiego drzewa.

– Ale przecież Sebastian nie żył. On nie żyje, Clary...

– Więc powiedz mi, dlaczego nie ma tam jego ciała. – Jej głos w końcu się załamał. – Jest tylko mnóstwo krwi i potłuczonego szkła. A oni obaj zniknęli. Jace zniknął...

Część pierwsza

Żadnego złego anioła

„Miłość jest marą. Miłość jest szatanem, nie ma złego anioła oprócz miłości”.

– William Szekspir, „Stracone zachody miłości”
(przekład: Zofia Siwicka)

Dwa tygodnie później

1

Ostatnia Rada

– Jak myślisz, ile jeszcze potrwa wydanie werdyktu? – zapytała Clary.

Nie wiedziała, jak długo już czekają, ale miała wrażenie, że z dziesięć godzin. W czarno-różowej pudrowej sypialni Isabelle nie było żadnych zegarów, tylko góry ubrań, piramidy książek, stosy broni, toaletka pełna błyszczaków i szczotek, otwarte szuflady z wylewającą się z nich koronkową bielizną, pończochami i szalami boa. Wystrój nieco kojarzył się Clary z kulisami „Klatki dla ptaków”, ale przez ostatnie dwa tygodnie spędziła tyle czasu wśród tego skrzącego się bałaganu, że w końcu zaczął poprawiać jej samopoczucie.

Isabelle stała przy oknie z Churchem na rękach i z roztargnieniem głaskała go po głowie. Kot łypał na nią złymi żółtymi oczami. Za oknem szalała listopadowa burza, deszcz spływał po szybach jak przezroczysta farba.

– Już niedługo – odparła. Nie miała makijażu, dzięki czemu wyglądała młodziej, a jej ciemne oczy były większe. – Pewnie z pięć minut.

Clary siedziała na łóżku Izzy między stertą czasopism a grzechoczącą kupką serafickich noży. Czując gorzki smak w gardle, przełknęła ślinę. „Wróć. Za pięć minut”.

To były jej ostatnie słowa wypowiedziane do chłopca, którego kochała najbardziej na świecie. Teraz pomyślała, że być może już nigdy więcej nie będzie miała okazji z nim rozmawiać.

Doskonale pamiętała tamtą chwilę. Ogród na dachu. Pogodna październikowa noc, gwiazdy świecące lodowatą bielą na bezchmurnym czarnym niebie. Kamienie z namalowanymi czarnymi runami, spryskane posoką i krwią. Usta Jace’a przy jej ustach, jedyna ciepła rzecz w zimnym świecie. Pierścień Morgensternów na jej szyi. „Miłość, która porusza słońce i wszystkie inne gwiazdy”. Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, kiedy winda ruszała, zabierając ją w mrok budynku. Dołączyła do zgromadzonych w holu, ścisnęła matkę, Luke’a, Simona, ale jakaś jej część jak zawsze była z Jace’em, unosiła się nad miastem, oni dwoje sami na dachu, w chłodnej, elektrycznej jasności.

Maryse i Kadir pojechali windą na dach, żeby obejrzeć skutki rytuału Lilith. Po dziesięciu minutach Maryse wróciła. Sama. Kiedy drzwi się otworzyły i Clary ujrzała jej twarz – bladą, zastygłą i zdenerwowaną – zrozumiała.

To, co wydarzyło się później, było jak sen. Tłum Nocnych Łowców zebranych w holu popłynął ku Maryse; Alec gwałtownie odsunął się od Magnusa, Isabelle skoczyła na równe nogi. Ciemność przecięły, jedno po drugim, białe światła niczym ciche eksplozje lamp błyskowych na miejscu zbrodni, kiedy serafickie noże rozjaśniły mrok. Przepychając się do przodu, Clary usłyszała historię w oderwanych fragmentach: ogród na dachu był pusty; Jace zniknął; szklana trumna, w której leżał Sebastian, została rozbita; wszędzie walały się odłamki szkła. Po piedestale, na którym stał sarkofag, ściekała krew, jeszcze świeża.

Nocni Łowcy natychmiast postanowili się rozproszyć i przeszukać okolicę wokół budynku.

Magnus, z którego palców sypały się niebieskie iskry, zapytał Clary, czy ma jakąś rzecz należąca do Jace'a. Clary w odrętwieniu dała mu pierścień Morgensternów i wycofała się w kąt holu, żeby zadzwonić do Simona. Właśnie zamknęła komórkę, kiedy ponad ogólny gwar wybił się głos jednego z Nocnych Łowców.

– Czar tropiący zadziała tylko wtedy, jeśli on jeszcze żyje. Przy tej ilości krwi to mało prawdopodobne...

W tym momencie przedłużona hipotermia, wyczerpanie i szok zebrały swoje żniwo. Clary poczuła, że uginają się pod nią kolana. Przed upadkiem na ziemię uratowała ją matka. Potem wszystko było ciemną zamazaną plamą. Clary obudziła się następnego ranka w swoim łóżku w domu Luke'a i usiadła gwałtownie z sercem bijącym jak młot, pewna, że przyśnił się jej koszmar.

Kiedy wygramoliła się z łóżka, blednące siniaki na rękach i nogach opowiedziały jej inną historię, podobnie jak brak pierścienia. Wbiła się w dzinsy i bluzę z kapturem i poczłapała do salonu. Tam zastała Jocelyn, Luke'a i Simona, wszystkich z ponurymi minami. Nawet nie musiała pytać, ale i tak to zrobiła.

– Znaleźli go? Wrócił?

Jocelyn wstała.

– Kochanie, nadal go nie ma...

– Ale żyje? Nie znaleźli ciała? – Opadła na kanapę obok Simona. – Nie... nie jest martwy.

Wiedziałabym.

Pamiętała, że Simon trzymał ją za rękę, kiedy Luke mówił jej, co wiedzą. Że Jace'a nadal nie ma, podobnie jak Sebastiana. Zła wiadomość była taka, że krew na piedestale należała do Jace'a. Dobra wiadomość natomiast taka, że znaleźli jej mniej, niż się spodziewali. Była zmieszana z wodą z trumny, dlatego wydawało się, że jest jej więcej niż w rzeczywistości. Teraz uważali za całkiem możliwe, że Jace przeżył to, co się wydarzyło.

– Ale co się wydarzyło? – zapytała Clary.

Luke potrząsnął głową. Wyraz niebieskich oczu miał posępny.

– Nikt tego nie wie, Clary.

Krew w jej żyłach zastąpiła lodowata woda.

– Chcę pomóc. Muszę coś zrobić. Nie chcę tu siedzieć beczynnym, kiedy Jace zaginął.

– O to bym się nie martwiła – odezwała się Jocelyn ponurym tonem. – Clave chce cię widzieć.

Niewidoczny lód popękał w stawach i ścięgnach Clary, kiedy wstała.

– Dobrze. Niech tak będzie. Powiem im wszystko, co chcą, żeby tylko znaleźli Jace'a.

– Powiesz im wszystko, co chcą, bo mają Miecz Anioła. – W głosie matki brzmiała rozpacz. –

Och, dziecko. Tak mi przykro.

Teraz, dwa tygodnie po powtarzających się zeznaniach, po dziesiątkach wezwanych świadków, po tym, jak tuzin razy trzymała Miecz Anioła, siedziała w sypialni Isabelle i czekała, aż Rada zadecyduje o jej losie. Nie mogła zapomnieć, jakie to uczucie dotykać Miecza Anioła. Było tak, jakby małe haczyki na ryby wbijały się w skórę i wyciągały z człowieka prawdę. Klęczała w kręgu Mówiących Gwiazd i słyszała własny głos opowiadający Radzie wszystko: jak Valentine wezwał Razjela, jak ona przejęła od niego moc nad Aniołem, wymazując jego imię napisane na piasku i zastępując je własnym. Opowiedziała, jak Anioł podarował jej jedno życzenie, a ona wykorzystła je, żeby wskrzesić Jace'a. Opowiedziała, jak Lilith opętała Jace'a i planowała użyć krwi Simona, żeby wskrzesić brata Clary Sebastiana, którego uważała za swojego syna. O tym, jak Znak Kaina noszony przez Simona zabił Lilith, a oni myśleli, że dzięki temu Sebastian też przestanie być zagrożeniem.

Clary westchnęła i otworzyła klapy komórki, żeby sprawdzić czas.

– Są tam już godzinę – stwierdziła. – Czy to normalne? To zły znak?

Isabelle wypuściła Churcha z rąk, podeszła do łóżka i usiadła obok niej. Wyglądała na jeszcze szczuplejszą niż zwykle – schudła w ciągu ostatnich dwóch tygodni, podobnie jak Clary – ale była elegancka jak zawsze w czarnych cygaretkach i dopasowanym topie z szarego aksamitu. Wokół oczu miała rozmazany tusz, ale wcale nie wyglądała jak szop prac, tylko jak francuska gwiazda filmowa. Gdy rozłożyła ramiona, bransolety z elektrum z runicznymi breloczkami zabrzęczały melodyjnie.

– Nie, to nie jest zły znak – powiedziała. – To tylko oznacza, że mają dużo do omówienia. – Przekręciła na palcu pierścień Lightwoodów. – Wszystko będzie dobrze. Nie złamałaś Prawa. To ważne.

Clary westchnęła. Nawet ciepło ramienia Isabelle nie było w stanie roztopić lodu w jej żyłach. Wiedziała, że formalnie nie złamała Prawa, ale zdawała sobie również sprawę, że Clave jest na nią wściekła. Nielegalne było wskrzeszanie umarłego przez Nocnego Łowcę, ale nie przez Anioła. Niemniej jednak zrobiła tak straszną rzecz, prosząc o życie Jace'a, że oboje postanowili nikomu o tym nie mówić.

Teraz prawda wyszła na jaw i wstrząsnęła Clave. Clary wiedziała, że chcą ją ukarać, choćby tylko dlatego, że jej decyzja miała tak katastrofalne skutki. I nawet chciała, żeby ją ukarali. Połamali jej kości, wyrwali paznokcie, kazali Cichym Braciom zaszczerpić w jej umyśle swoje myśli. Coś w rodzaju paktu z diabłem: jej ból za bezpieczny powrót Jace'a. Pomogłoby to jej stłumić poczucie winy, że zostawiła Jace'a na dachu, choć Isabelle i inni powtarzali jej setki razy, że mówi bzdury. Wszyscy wtedy uważali, że nic mu tam nie grozi i że gdyby z nim została, pewnie też by zniknęła.

– Przestań – rzuciła Isabelle.

Przez chwilę Clary nie była pewna, czy Isabelle mówi do niej czy do kota. Church drzemał, swoim zwyczajem leżąc na plecach ze wszystkimi czterema nogami w górze i udając martwego, żeby wywołać poczucie winy u swoich właścicieli. Ale kiedy Isabelle odgarnęła z twarzy czarne włosy i spiorunowała ją wzrokiem, Clary uświadomiła sobie, że to ona jest karcona, a nie kot.

– Co mam przestać?

– Chorobliwie rozmyślać o tych wszystkich okropnych rzeczach, które ci się przydarzą, albo chciałybyś, żeby ci się przydarzyły, bo ty żyjesz, a Jace... zaginął. – Głos Isabelle zadrżał.

Nigdy nie mówiła, że Jace nie żyje albo zniknął. Ona i Alec nawet nie brali pod uwagę tej możliwości. I nigdy nie skarciła Clary za ukrywanie takiej niebywałej tajemnicy. Przez cały ten czas stała za nią murem. Codziennie spotykała się z nią pod drzwiami Sali Anioła, trzymała ją mocno za rękę i prowadziła między grupkami gapiących się na nią i szepejących Nocnych Łowców. Czekala podczas niekończących się przesłuchań Rady, sztyletowała wzrokiem wszystkich, którzy ośmielali się łąpać na nią z ukosa. Clary nie mogła się nadziwić. Ona i Isabelle nigdy nie były ze sobą zbyt blisko, obie należały do tego rodzaju dziewczyn, które czują się lepiej w towarzystwie chłopców. Ale teraz Izzy nie odstępowała jej na krok. Clary była równie zaskoczona, jak wdzięczna.

– Nic nie mogę na to poradzić – powiedziała. – Gdyby mi pozwolili chociaż patrolować... robić cokolwiek... myślę, że nie byłoby tak źle.

– Nie wiem. – W głosie Isabelle brzmiało znużenie. Przez ostatnie dwa tygodnie ona i Alec byli wyczerpani i popielaci na twarzy po szesnastogodzinnych patrolach. Kiedy Clary odkryła, że odsunięto ją od poszukiwań Jace'a, póki Rada nie postanowi, jak ją ukarać, wybiła kopniakiem dziurę w drzwiach swojej sypialni. – Czasami wydaje się, że to wszystko na próżno.

W kościach Clary zagrzechotał lód.

– Masz na myśli, że on nie żyje?

– Nie, skąd. Mam na myśli, że nie ma mowy, żeby nadal był w Nowym Jorku.

– Ale inne miasta też przeszukują, prawda? – Clary uniosła rękę do szyi, zapomniawszy, że już tam nie ma pierścienia Morgensternów. Magnus nadal próbował wytropić Jace’a, choć na razie bez rezultatu.

– Oczywiście, że tak. – Isabelle z ciekawością dotknęła delikatnego srebrnego dzwoneczka wiszącego teraz na szyi Clary zamiast pierścienia. – Co to jest?

Clary się zawahała. Ozdóbka była prezentem od królowej Jasnego Dworu. Nie, niezupełnie. Władczyni faerie nie rozdawała prezentów. Dzwoneczek miał jej zasignalizować, że Clary potrzebuje pomocy. Ona sama przyłapywała się na tym, że w miarę jak mijają dni bez znaku życia od Jace’a, jej ręka wędruje do niego coraz częściej. Jedyne, co ją powstrzymywało przed jego użyciem, to świadomość, że królowa Jasnego Dworu niczego nie daje bezinteresownie.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, otworzyły się drzwi sypialni. Obie usiadły prosto i sztywno. Clary tak mocno ścisnęła jedną z różowych poduszek Isabelle, że zdobiące ją strasy wbiły się we wnętrza jej dłoni.

– Cześć.

Do pokoju wszedł smukły chłopak. Alec, starszy brat Isabelle. Miał na sobie strój Rady: czarną szatę ze srebrnymi runami, teraz rozpiętą, a pod nią dżinsy i czarny T-shirt z długimi rękawami. Przy całej tej czerni jego skóra wyglądała na jeszcze bledszą, a jasne oczy na jeszcze bardziej niebieskie. Włosy miał czarne i proste jak siostra, ale krótsze, sięgające linii szczęki. Jego usta były zaciśnięte w wąską kreskę.

Serce Clary zaczęło dudnić. Alec nie wyglądał na szczęśliwego. Jakiegokolwiek wieści przynosił, nie mogły być dobre.

To Isabelle odezwała się pierwsza.

– Jak poszło? Jak brzmi werdykt?

Alec usiadł przy toalecie i obrócił się na krześle w stronę Clary i Izzy. W innej sytuacji wyglądałby dość komicznie: był bardzo wysoki, z długimi nogami jak u tancerza, a na tym stołku sprawiał wrażenie, jakby siedział na mebelku dla lalek.

– Clary... – zaczął. – Jia Penhallow wydała werdykt. Zostałaś oczyszczona ze wszystkich zarzutów. Nie złamałaś Prawa, a Jia uważa, że już zostałaś dostatecznie ukarana.

Isabelle z głośnym westchnieniem wypuściła powietrze z płuc i uśmiechnęła się szeroko. Na chwilę uczucie ulgi przedarło się przez warstwę lodu ścinającą wszystkie emocje Clary. Nie zostanie ukarana, zamknięta w Cichym Mieście, uwięziona gdzieś, skąd nie mogłaby pomóc Jace’owi. Luke, który był przedstawicielem wilkołaków w Radzie i zjawił się na ogłoszeniu werdyktu, obiecał zadzwonić do Jocelyn, kiedy tylko skończy się narada. Ale Clary i tak sięgnęła po telefon. Perspektywa przekazania matce dla odmiany dobrej wieści była zbyt kusząca.

– Clary, zaczekaj – powstrzymał ją Alec, kiedy otworzyła komórkę.

Uniosła na niego wzrok. Minę nadal miał poważną jak grabarz. Nagle ogarnięta złym przeczuciem odłożyła telefon na łóżko.

– Alec... o co chodzi?

– To nie werdykt zabrał Radzie tyle czasu – wyjaśnił Alec. – Dyskutowano nad inną sprawą.

Lód wrócił. Clary zadrżała.

– Jace?

– Niezupełnie. – Alec pochylił się i splótł ręce na oparciu krzesła.

– Dziś wcześniej rano przyszedł meldunek z Instytutu Moskiewskiego. Wczoraj zostały naruszone czary ochronne na Wyspie Wrangla. Wysłali ekipę, żeby je naprawiła, ale to był dla Rady priorytet:

tak ważne zabezpieczenia tak długo nieczynne.

Ziemię otaczały czary ochronne, coś w rodzaju magicznego ogrodzenia założonego przez pierwsze pokolenia Nocnych Łowców. Demony mogły je ominąć jedynie z wielkim trudem; czary na ogół skutecznie broniły świat przed zmasowanym atakiem. Clary pamiętała, co powiedział jej Jace, zdawało się, że lata temu. „Były tylko małe demoniczne inwazje na ten świat i łatwo zostały odparte. Ale nawet za mojego życia coraz więcej demonów wlewa się przez zabezpieczenia”.

– To niedobrze – stwierdziła Clary. – Ale nie rozumiem, co to ma wspólnego z...

– Clave ma swoje priorytety – przerwał jej Alec. – Przez ostatnie dwa tygodnie było nim szukanie Jace’a i Sebastiana. Ale przeczესali wszystko i nie znaleźli żadnego ich śladu w Podziemnym Świecie. Nie podziałały żadne czary tropiące Magnusa. Elodie, która wychowała prawdziwego Sebastiana Verlacę, potwierdziła, że nikt nie próbował się z nią skontaktować. Zresztą, to i tak wydawało się mało prawdopodobne. Żadni szpiedzy nie donieśli o niezwyklej aktywności wśród znanych członków starego kręgu Valentine’a. A Cisi Bracia nie potrafili dokładnie stwierdzić, jaki był cel rytuału Lilith i czy udało się go osiągnąć. Panuje ogólna zgoda, że Sebastian – oczywiście nazywają go Jonathanem – porwał Jace’a, ale to już wiedzieliśmy.

– A więc co to oznacza? – zapytała Isabelle. – Dalsze poszukiwania? Więcej patroli?

Alec pokręcił głową.

– Nie zastanawiają się nad rozszerzeniem poszukiwań – odparł cicho. – One już przestały być najważniejsze. Minęły dwa tygodnie i niczego nie znaleźli. Postanowili więc, że grupy sprowadzone z Idrisu zostaną odesłane do domu. Teraz priorytetem jest sprawa zabezpieczeń. Nie wspominając o tym, że Rada jest w trakcie delikatnych negocjacji, zmian Prawa, żeby dostosować je do nowego kształtu Rady, wyznaczania nowego Konsula i Inkwizytora, zasad traktowania Podziemnych.... Nie chcą całkiem sparaliżować sobie pracy.

Clary wytrzeszczyła oczy.

– Nie chcą, żeby zniknięcie Jace’a odciągnęło ich od zmiany starych głupich praw? Rezygnują?

– Nie rezygnują...

– Alec – rzuciła ostro Isabelle.

Jej brat wziął głęboki wdech i zakrył dłońmi twarz. Miał długie palce, jak Jace, i tak jak u niego, też pokryte bliznami. Grzbiet dłoni zdobiło oko: Znak Nocnych Łowców.

– Clary, dla ciebie... dla nas, zawsze najważniejsze będzie szukanie Jace’a. Clave chodzi o znalezienie Sebastiana. Jace’a też, ale głównie Sebastiana. On jest niebezpieczny. Zniszczył zabezpieczenia Alicante. Jest masowym mordercą. Jace...

– Jest tylko kolejnym Nocnym Łowcą – dokończyła Isabelle. – Umieramy i znikamy przez cały czas.

– On i tak dostaje więcej uwagi za to, że jest bohaterem Śmiertelnej Wojny – dodał Alec. – Ale na koniec Clave oświadczyło jasno: poszukiwania będą kontynuowane, ale teraz będzie to głównie oczekiwanie na następny ruch Sebastiana. Dla Clave sprawa ma teraz trzeciorzędne znaczenie. Oczekują, że wrócimy do normalnego życia.

Normalnego życia? Clary nie mogła w to uwierzyć. Normalne życie bez Jace’a?

– To samo nam powiedzieli po śmierci Maksa – przypomniała Izzy. Jej czarne oczy były suche, ale płonęły gniewem. – Że szybciej poradzimy sobie z żałobą, jeśli po prostu wrócimy do normalnego życia.

– To miała być dobra rada – mruknął Alec.

– Powiedz to tacie. Wrócił z Idrisu na naradę?

Alec potrząsnął głową i opuścił ręce.

– Nie. Jeśli to może być jakieś pocieszenie, wiele osób na naradzie wypowiadało się za dalszymi poszukiwaniami Jace’ a pełną parą. Magnus oczywiście, Luke, Konsul Penhallow, nawet brat Zachariasz. Ale w rezultacie to nie wystarczyło.

Clary zmierzyła go wzrokiem.

– Alec? Nic nie czujesz?

Oczy Aleca się rozszerzyły, pociemniały. Clary przypomniał się chłopiec, który jej nienawidził, kiedy pierwszy raz zjawiał się w Instytucie, chłopiec z obgryzionymi paznokciami, dziurami w swetrze i do tego strasznie przewrażliwiony.

– Wiem, że jesteś zdenerwowana, Clary – powiedział ostrym głosem – ale jeśli sugerujesz, że Iz i mnie zależy na Jasie mniej niż tobie...

– Nie – przerwała mu Clary. – Mówię o waszym związku *parabatai*. Czytałam o ceremonii w Kodeksie. Wiem, że jesteście ze sobą tak związani, że potrafisz wyczuwać różne rzeczy w związku z Jace’em. Rzeczy, które pomagają w walce. Więc chyba miałam na myśli, że... czujesz, że on nadal żyje?

– Clary... – W głosie Isabelle brzmiała troska. – Myślałam, że ty...

– On żyje – powiedział Alec ostrożnie. – Myślisz, że bym tak funkcjonował, gdyby Jace nie żył? Zdecydowanie jest tutaj coś nie tak. Tyle czuję. Ale on nadal oddycha.

– Czy to „nie tak” może oznaczać, że jest więźniem? – spytała Clary cichutko.

Alec spojrział w okno, na siekący szary deszcz.

– Może. Nie potrafię tego wyjaśnić. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie czułem.

– Ale on żyje.

Alec spojrział na nią.

– Jestem tego pewien.

– Więc chrzanić Radę, sami go znajdziemy – oświadczyła Clary.

– Clary... gdyby to było możliwe... nie sądzisz, że już byśmy... – zaczął Alec.

– Wcześniej robiliśmy to, co chciało od nas Clave – przypomniała mu Isabelle. – Patrole, poszukiwania. Są inne sposoby.

– Sposoby, które wiążą się z łamaniem Prawa, chciałaś powiedzieć – rzucił brat z wahaniem w głosie.

Clary miała nadzieję, że Alec nie zamierza powtórzyć motta Nocnych Łowców: „Sed lex, dura lex”. „Surowe prawo, ale prawo”. Chybaby tego nie zniosła.

– Królowa Jasnego Dworu zaproponowała mi przysługę. W czasie pokazu fajerwerków w Idrisie. – Wspomnienie tamtej nocy, tego, jaka była szczęśliwa, sprawiło, że ścisnęło się jej serce. Musiała umilknąć na chwilę, żeby odzyskać oddech. – I podała sposób, w jaki się z nią skontaktować.

– Królowa faerie nie daje nic za darmo.

– Wiem. Wezmę każdy dług na siebie. – Clary wspomniała słowa dziewczyny faerie, która dała jej dzwoneczek. „Zrobiłabyś wszystko, żeby go uratować, wszystko na niebie i ziemi, prawda?”. – Po prostu chcę, żeby jedno z was poszło ze mną. Nie jestem dobra w rozumieniu mowy faerie. Przynajmniej ograniczylibyście szkody. Ale skoro ona może coś zrobić...

– Pójdę z tobą – natychmiast oświadczyła Isabelle.

Alec spojrział na siostrę ponurym wzrokiem.

– Już rozmawialiśmy z faerie. Rada długo ich wypytywała. A oni nie potrafią kłamać.

– Rada pytała ich, czy wiedzą, gdzie jest Jace i Sebastian – przypomniała Clary. – A nie, czy są gotowi ich szukać. Królowa Jasnego Dworu wiedziała o moim ojcu, o aniele, którego wezwał i uwięził, znała prawdę o krwi mojej i Jace’a. Myślę, że niewiele dzieje się na świecie, o czym ona

by nie wiedziała.

– To prawda – przyznała Isabelle z lekkim ożywieniem w głosie. – Wiesz, że trzeba zadawać faerie precyzyjne pytanie, żeby wydobyć z nich użyteczne informacje, Alec. Trudno ich przesłuchiwać, nawet jeśli muszą mówić prawdę. Ale przysługa to co innego.

– A zagrożenia są dosłownie nieograniczone – stwierdził Alec. – Gdyby Jace wiedział, że pozwalam Clary iść do królowej Jasnego Dworu...

– Nic mnie to nie obchodzi – oświadczyła Clary. – On by to dla mnie zrobił. Tylko powiedz, że nie. Gdybym zaginęła...

– Spaliłby cały świat, żeby móc wykopać cię z popiołów. Wiem. – Głos Aleca zdradzał wyczerpanie. – Do licha, myślisz, że ja nie chcę spalić teraz całego świata? Ja tylko staram się być...

– Starszym bratem – dokończyła Isabelle. – Rozumiem.

Alec miał minę, jakby starał się odzyskać panowanie nad sobą.

– Gdyby coś ci się stało, Isabelle... po Maksie i Jasie...

Izzy wstała, przeszła przez pokój i objęła brata. Ich ciemne włosy, identycznego koloru, mieszały się ze sobą, kiedy Isabelle szepnęła mu coś do ucha. Clary parzyła na nich z lekką zazdrością. Zawsze chciała mieć brata. I miała jednego. Sebastiana. Było tak, jakby marzyła o szczeniaku, a w zamian dostała psa z piekła rodem. Patrzyła, jak Alec z uczuciem mierzwi siostrze włosy i się prostuje.

– Powinniśmy już iść – stwierdził. – Ale muszę przynajmniej powiedzieć Magnusowi, co zamierzamy. Byłoby nie fair, gdybym tego nie zrobił.

– Chcesz skorzystać z mojej komórki? – spytała Isabelle, podając mu zniszczony różowy aparat. Alec pokręcił głową.

– On czeka na dole razem z innymi. Luke'owi też muszę dać jakieś wyjaśnienie. Na pewno się spodziewa, że wrócisz z nim do domu, Clary. Mówi, że twoja matka jest chora od tej całej historii.

– Obwinia się o istnienie Sebastiana. – Clary też wstała. – Choć przez te wszystkie lata myślała, że on nie żyje.

– To nie jej wina. – Isabelle zdjęła ze ściany złoty bicz i owinęła go sobie na nadgarstku, tak że wyglądał jak drabinka ze złotych bransoletek. – Nikt jej nie wini.

– To nigdy nie ma znaczenia – stwierdził Alec. – Nie kiedy człowiek sam się obwinia.

Cała trójka ruszyła w milczeniu korytarzami Instytutu, dziwnie teraz zatłoczonymi. Część Nocnych Łowców została specjalnie przysłana z Idrisu, żeby uporać się z obecną sytuacją. Żaden z nich nie patrzył na Isabelle, Aleca czy Clary ze zbytnią ciekawością. Początkowo Clary odnosiła wrażenie, że wszyscy się na nią gapią – i wszędzie słyszała szepty „córka Valentine'a” – aż w końcu zaczęła się bać przychodzić do Instytutu, ale do tej pory wystąpiła już przed Radą tyle razy, że to zainteresowanie przestało jej doskwierać.

Zjechali windą na dół. Nawa Instytutu była jasno oświetlona magicznym światłem, a także zwykłymi świecami. Roilo się w niej od członków Rady i ich rodzin. Luke i Magnus siedzieli w ławce, rozmawiając ze sobą. Miejsce obok Luke'a zajmowała wysoka, niebieskooka kobieta, bardzo do niego podobna. Choć ufarbowała siwiznę na kasztanowy kolor i zakręciła włosy, Clary i tak rozpoznała siostrę Luke'a Amatis.

Na widok Aleca Magnus wstał i podszedł, żeby z nim porozmawiać. Izzy najwyraźniej dostrzegła kogoś ponad ławkami, bo ruszyła szybko w tamtą stronę, swoim zwyczajem nawet się nie zatrzymując, żeby powiedzieć, dokąd idzie. Clary poszła przywitać się z Lukiem i jego siostrą. Oboje wyglądali na zmęczonych. Amatis ze współczuciem poklepała brata po ramieniu. Luke wstał i uściskał Clary. Amatis pogratulowała jej oczyszczenia przez Radę, a ona tylko skinęła głową. Była

nieobecna duchem i odrętwiała. Czuli się, jakby jej zachowaniami kierował autopilot.

Kątem oka widziała Magnusa i Aleca, którzy rozmawiali, nachyleni ku sobie jak pary zamknięte w swoim świecie. Była szczęśliwa, widząc, że oni są szczęśliwi, ale jednocześnie czuła ukłucia bólu. Zastanawiała się, czy ona też jeszcze kiedyś odzyska tę bliskość i czy w ogóle będzie jej pragnęła. Przypomniała sobie głos Jace'a: „Nawet nie chcę mieć kogoś innego niż ty”.

– Ziemia do Clary – powiedział Luke. – Chcesz iść do domu? Twoja matka już nie może się doczekać, żeby cię zobaczyć, i chętnie spotkałaby się z Amatis przed jej jutrzejszym powrotem do Idrisu. Pomyślałem, że moglibyśmy zjeść razem kolację. Ty wybierasz restaurację. – Próbował ukryć troskę w głosie, ale Clary i tak ją słyszała. Ostatnio niewiele jadła, ubrania zaczynały na niej wisieć.

– Nie mam ochoty świętować – oświadczyła. – Nie, kiedy Rada zmieniła priorytety.

– Clary, to nie oznacza, że przestaną szukać Jace'a – uspokoił ją Luke.

– Wiem. To tak, jakby powiedzieli... że teraz to już nie jest misja ratunkowa, tylko szukanie ciała. Właśnie tak to teraz brzmi. – Przełknęła ślinę. – W każdym razie myślałam, żeby iść na kolację do Taki z Isabelle i Alekiem. Zrobić coś normalnego.

Amatis zerknęła w stronę drzwi.

– Mocno pada.

Clary poczuła, że jej wargi rozciągają się w uśmiechu. Zastanawiała się, czy ten grymas rzeczywiście wygląda tak fałszywie, jak jej się wydaje.

– Nie roztopię się.

Luke wcisnął jej do ręki jakieś pieniądze. Najwyraźniej mu ulżyło, że jego przybrana córka zamierza zrobić coś tak normalnego jak wyjście wieczorem z przyjaciółmi.

– Tylko obiecaj mi, że coś zjesz.

– Dobrze. – Choć poczuła wyrzuty sumienia, udało się jej zmusić do prawdziwego półśmiechu, zanim się odwróciła.

Magnusa i Aleca już nie było tam, gdzie widziała ich przed chwilą. Rozejrzawszy się, dostrzegła w tłumie znajome długie, czarne włosy Isabelle. Dziewczyna stała obok podwójnych dużych drzwi Instytutu i rozmawiała z kimś, kogo Clary nie widziała. Ruszyła w jej stronę. Kiedy znalazła się bliżej, z lekkim zaskoczeniem rozpoznała jedną osobę z grupki. Aline Penhallow. Jej lśniące czarne włosy były modnie obcięte do ramion. Obok niej stała smukła dziewczyna o złocistych włosach skręconych w loczki. Odgarnięte z twarzy, odsłaniały ostro zakończone czubki uszu. Miała na sobie szatę Rady, a kiedy Clary podeszła bliżej, zobaczyła, że jej oczy są lśniące i intensywnie niebieskozielone. Ten kolor sprawił, że po raz pierwszy od dwóch tygodni Clary zaświerzyły palce z tęsknoty za ołówkami Prismacolor.

– To musi być dziwne uczucie, że twoja matka jest nowym Konsulem – mówiła Isabelle do Aline, kiedy Clary do nich podeszła. – Nie to, żeby Jia nie była dużo lepsza od... Hej, Clary. Aline, pamiętasz Clary.

Dziewczyny skinęły głowami. Clary kiedyś przyłapała Aline na całowaniu się z Jace'em. Wtedy to było okropne przeżycie, ale wspomnienie już nie bolało. Teraz poczułaby ulgę, gdyby natknęła się na Jace'a całującego inną. Przynajmniej oznaczałoby to, że on żyje.

– A to jest dziewczyna Aline, Helen Blackthorn – powiedziała Isabelle z naciskiem. Clary rzuciła jej ostre spojrzenie. Czy Izzy uważa ją za idiotkę? Poza tym, pamiętała słowa Aline, że całowała się z Jace'em tylko raz w ramach eksperymentu, bo chciała się przekonać, czy jakiś facet jest w jej typie.

Najwyraźniej stwierdziła, że nie. – Rodzina Helen prowadzi Instytut w Los Angeles. Helen, to jest Clary Fray.

– Córka Valentine’a – stwierdziła Helen. Wyglądała na zaskoczoną i pod wrażeniem.

Clary się skrzywiła.

– Staram się nie myśleć o tym zbyt wiele.

– Przepraszam. Rozumiem cię. – Helen się zaczerwieniła. Jej skóra była bardzo blada, z lekkim perłowym połyskiem. – Tak przy okazji, głosowałam za tym, żeby Rada nadal uważała poszukiwanie Jace’a za priorytet. Przykro mi, że zostaliśmy przegłosowani.

– Dzięki. – Clary nie chciała o tym rozmawiać, więc zwróciła się do Aline: – Gratuluję, że twoja matka została Konsulem. To musi być ekscytujące.

Aline wzruszyła ramionami.

– Teraz jest bardziej zajęta. – Zwróciła się do Isabelle: – Wiedziałaś, że twój tata zgłosił swoją kandydaturę na Inkwizytora?

Clary poczuła, że stojąca obok niej Izzy sztywnieje.

– Nie. Nie wiedziałam.

– Sama byłam zaskoczona – dodała Aline. – Myślałam, że jest oddany tutejszemu Instytutowi... – Urwała, patrząc poza Clary. – Helen, chyba twój brat próbuje zrobić największą sadzawkę ze stopionego wosku na świecie. Może chcesz go powstrzymać?

Helen sapnęła z irytacją, wymamrotała coś o dwunastoletnich chłopcach i zniknęła w tłumie. W tym momencie zbliżył się do nich Alec i uściskiem przywitał Aline. (Clary czasami zapominała, że Penhallowowie i Lightwoodowie znają się od lat). Spojrzał za Helen.

– To twoja dziewczyna?

Aline kiwnęła głową.

– Helen Blackthorn.

– Słyszałem, że w tej rodzinie jest trochę krwi faerie – powiedział Alec.

Aha, pomyślała Clary. To wyjaśniało spiczaste uszy. Krew Nefilim była dominująca, dziecko faerie i Nocnego Łowcy też mogło być Nocnym Łowcą, ale czasami krew faerie potrafiła dojść do głosu w dziwny sposób, nawet po kilku pokoleniach.

– Trochę – potwierdziła Aline. – Posłuchaj, Alec, chciałam ci podziękować.

Chłopak zrobił zdziwioną minę.

– Za co?

– Za to, co zrobiłeś w Sali Anioła – wyjaśniła Aline. – Za to, że pocałowałeś Magnusa. To dało mi bodziec, żeby powiedzieć rodzicom... ujawnić się przed nimi. A gdybym tego nie zrobiła, nie sądzę, żebym miała odwagę wyznać prawdę, kiedy poznałam Helen.

– Aha. – Alec wyglądał na zaskoczonego, jakby nigdy się nie zastanawiał nad tym, jaki wpływ może mieć jego postępowanie na kogokolwiek spoza najbliższej rodziny.

– A twoi rodzice... dobrze zareagowali?

Aline przewróciła oczami.

– Zignorowali sprawę, jakby mogła zniknąć, jeśli nie będą o niej mówić. – Clary pamiętała, co mówiła Isabelle o stosunku Clave do jego członków gejów. „O tym się nie rozmawia”. – Ale mogło być gorzej.

– Zdecydowanie mogło być gorzej – potwierdził Alec.

W jego głosie była nuta, która sprawiła, że Clary spojrzała na niego uważnie.

Na twarzy Aline pojawił się wyraz współczucia.

– Przykro mi – powiedziała. – Jeśli twoi rodzice...

– Im to nie przeszkadza – wtrąciła Isabelle, trochę zbyt ostro.

– Tak czy inaczej. Nie powinnam teraz gadać o sobie. Nie kiedy Jace zniknął. Wszyscy musicie bardzo się martwić. – Aline wzięła głęboki oddech. – Wiem, że ludzie pewnie mówili wam o nim mnóstwo głupich rzeczy. Tak jak zawsze, kiedy nie wiedzą, jak się zachować. Ja tylko... chciałam coś powiedzieć. – Niecierpliwie usunęła się z drogi komuś przechodzącemu obok i przysunęła się do Lightwoodów i Clary. Ściszyła głos. – Alec, Izzy, pamiętam, jak kiedyś przyszliście do nas w Idrisie. Ja miałam trzynaście lat, a Jace... chyba dwanaście. Chciał zobaczyć Las Brocelind, więc pożyczyliśmy jakieś konie i pojechaliśmy tam któregoś dnia. Oczywiście się zgubiliśmy. Brocelind jest nieprzebyty. Robiło się ciemno, drzewa rosły coraz gęściej, byłam przerażona. Myślałam, że tam umrzemy. Ale Jace w ogóle się nie bał. Był pewien, że znajdziemy drogę. Zabrało nam to wiele godzin, ale w końcu się udało. Wyprowadził nas stamtąd. Byłam mu taka wdzięczna, ale on tylko popatrzył na mnie jak na wariatkę. Jakby było oczywiste, że nas stamtąd wyprowadzi. Jakby nawet nie brał pod uwagę innej możliwości. Na pewno znajdzie drogę do was. Ja to wiem.

Clary chyba nigdy nie widziała, jak Izzy płacze, i teraz też dziewczyna najwyraźniej walczyła ze sobą. Jej oczy były podejrzenie duże i lśniące. Alec patrzył na swoje buty. Clary zdusiła narastający w niej żal. Nie mogła wyobrazić sobie dwunastoletniego Jace'a, który zgubił się w ciemnym lesie, bo musiałyby myśleć, że jest teraz gdzieś uwięziony w pułapce, potrzebuje jej pomocy i oczekuje, że ona po niego przyjdzie. Załamałyby się.

– Dziękuję, Aline – powiedziała, widząc, że Isabelle i Alec nie są w stanie wydobyć z siebie głosu.

Dziewczyna posłała jej nieśmiały uśmiech.

– Mówiłam poważnie.

– Aline!

To była Helen. Ścisnęła mocno nadgarstek młodszego chłopca, którego całe dłonie były pokryte niebieskim woskiem. Musiał bawić się świecami osadzonymi w ogromnych żyrandolach rozstawionych wzdłuż nawy. Wyglądał na jakieś dwanaście lat, miał psotny uśmiech i takie same niezwykle niebieskozielone oczy jak jego siostra, ale włosy ciemnokasztanowe.

– Wracamy. Powinniśmy stąd wyjść, zanim Jules zniszczy cały Instytut. Nie wspominając o tym, że nie mam pojęcia, gdzie mogli pójść Tibs i Livvy.

– Jedli wosk – podsunął pomocnie Jules.

– O, Boże – jęknęła Helen z przeproszającą miną. – Mam sześcioro młodszych braci i sióstr i jednego starszego. U nas zawsze jest zoo.

Jules przeniósł wzrok z Aleca na Isabelle, a potem na Clary.

– Ile macie braci i sióstr?

Helen zbladła.

– Nas jest troje – odpowiedziała Isabelle niezwykle spokojnym głosem.

Chłopiec zatrzymał wzrok na Clary.

– Nie wyglądacie podobnie.

– Nie jestem z nimi spokrewniona – wyjaśniła Clary. – Nie mam żadnych braci i sióstr.

– Żadnych? – W tonie Julesa zabrzmiało niedowierzanie, jakby mu powiedziała, że ma błonę między palcami. – To dlatego wyglądasz tak smutno?

Clary pomyślała o Sebastianie, o jego białych włosach i czarnych oczach. Gdyby nie miała brata, nic z tego by się nie wydarzyło, pomyślała. Przeszył ją dreszcz nienawiści, ogrzewając jej lodowatą krew.

– Tak – powiedziała cicho. – To dlatego jestem smutna.

2

Ciernie

Simon czekał na Clary, Aleca i Isabelle przed Instytutem, pod kamiennym daszkiem, który chronił go przed największym deszczem. Odwrócił się, kiedy stanęli w drzwiach. Clary zobaczyła, że jego ciemne włosy lepią się do czoła i szyi. Odgarnął je i spojrzał na nią pytająco.

– Zostałam oczyszczona – oznajmiła, a kiedy zaczął się uśmiechać, potrząsnęła głową. – Ale zdjęli priorytet z poszukiwań Jace’a. Ja... na pewno myślą, że on nie żyje.

Simon spojrzał na swoje mokre dżinsy i T-shirt (pognieciony i szary, z napisem „Najwyraźniej powziąłem parę złych decyzji”). Pokręcił głową.

– Przykro mi.

– Clave potrafitakie być – odezwała się Isabelle. – Chyba nie powinniśmy oczekiwać niczego innego.

– *Basia coquum* – rzekł Simon. – Czy jak tam brzmi to ich motto.

– *Descensus averno facilis Est*, „Łatwe jest zejście do piekła” – poprawił go Alec. – Ty powiedziałaś: „Pocałuj kucharza”.

– Cholera – mruknął Simon. – Wiedziałem, że Jace robi mi dowcip. – Włosy opadły mu na oczy. Odgarnął je niecierpliwym gestem. Clary dostrzegła srebrny Znak Kaina na jego czole. – Co teraz?

– Teraz idziemy się zobaczyć z królową Jasnego Dworu – oznajmiła Clary.

Dotykając dzwoneczka zawieszzonego na szyi, opowiedziała Simonowi o wizycie Kaelie na przyjęciu weselnym Luke’a i Jocelyn i jej obietnicy, że królowa Jasnego Dworu pomoże Clary.

Simon zrobił powątpiewającą minę.

– Ruda dama ze złym nastawieniem, która cię zmusiła, żebyś pocałowała Jace’a? Nie spodobała mi się.

– Akurat to pamiętasz? Że zmusiła Clary do pocałowania Jace’a? – Isabelle wydawała się poirytowana. – Królowa Jasnego Dworu jest niebezpieczna. Wtedy tylko się zabawiała. Zwykle lubi codziennie przed śniadaniem doprowadzić co najmniej kilku ludzi do szaleństwa.

– Ja nie jestem człowiekiem – przypomniał Simon. – Już nie. – Zerknął na Isabelle, opuścił wzrok i zwrócił się do Clary: – Chcesz, żebym poszedł z tobą?

– Myślę, że byś się tam przydał. Chodzący za Dnia, Znak Kaina. Niektóre rzeczy muszą zrobić wrażenie nawet na królowej.

– Nie założyłbym się o to – wtrącił Alec.

Clary przeniosła na niego wzrok i spytała:

– Gdzie jest Magnus?

– Powiedział, że będzie lepiej, jeśli z nami nie pójdzie. Zdaje się, że coś go łączyło z królową Jasnego Dworu.

Isabelle uniosła brwi.

– Nic w tym rodzaju – z irytacją rzucił Alec. – Chodziło o jakąś waśń rodową. – I dodał szeptem:

– Choć nie byłbym zaskoczony, sądząc po tym, co wyprawiał przede mną.

– Alec!

Gdy Isabelle zaczęła rozmawiać z bratem, Clary z trzaskiem otworzyła parasolkę w dinozaury, tę samą, którą Simon kupił jej lata temu w Muzeum Historii Naturalnej. Zobaczyła zmianę wyrazu jego twarzy, kiedy ją rozpoznał.

– Idziemy? – zapytał, podając jej ramię.

Deszcz padał równo, z rynsztoków wypływały małe strumyki, spod kół przejeżdżających taksówek tryskała woda. To dziwne, pomyślał Simon. Choć nie czuł zimna, wrażenie, że jest przemoczony i cały się klei, nadal było irytujące. Lekko odwrócił głowę i zerknął przez ramię na Isabelle i Aleca. Izzy nie spojrzała mu w oczy, odkąd wyszli z Instytutu. Zastanawiał się, o czym ona myśli. Wyglądało na to, że chce porozmawiać z bratem, a kiedy zatrzymali się na rogu Park Avenue, usłyszał, jak mówi:

– Więc co myślisz? O tym, że tata kandyduje na Inkwizytora?

– Wydaje mi się, że to nudna robota. – Isabelle trzymała w górze parasolkę z przezroczystego plastiku, ozdobioną kolorowymi kwiatami. Była to jedna z najbardziej dziewczęcych rzeczy, jakie Simon w życiu widział, tak że się nie dziwił, kiedy Alec usunął się spod niej, wybierając moknięcie na deszczu. – Nie wiem, dlaczego mu na niej zależy.

– Nie obchodzi mnie, czy jest nudna – wysyczała Izzy. – Jeśli on ją przyjmie, będzie przez cały czas w Idrisie. Cały czas. Nie może jednocześnie prowadzić Instytutu i być Inkwizytorem.

– Może zauważyłaś, Iz, że i tak przez cały czas jest w Idrisie.

– Alec... – Resztę jej słów zagłuszyły samochody ruszające po zmianie świateł i bryzgające lodowatą wodą na chodnik.

Clary uskoczyła przed gejzerem i omal nie wpadła na Simona. Chwycił ją za rękę i przytrzymał.

– Przepraszam – bąknęła. Jej dłoń była mała i zimna. – Nie uważałam.

– Wiem.

Simon starał się ukryć zmartwienie. Clary nie „uważała” przez ostatnie dwa tygodnie. Na początku płakała, potem była wściekła, że nie może brać udziału w patrolach, zła z powodu ciągłych przesłuchań przez Radę, rozdrażniona, że jest praktycznie więźniem w domu, bo Clave traktuje ją jak podejrzaną. A przede wszystkim była zirytowana na siebie, że nie potrafi wymyślić Znak, który by pomógł w poszukiwaniach. Po nocach godzinami siedziała przy biurku, tak mocno ściskając stelę w zbiegających palcach, że omal nie złamała jej na pół. Próbowwała zmusić umysł do podsunienia jej obrazu, gdzie jest Jace. Ale mijały kolejne noce i nic się nie działo.

Wygląda doroślej, pomyślał Simon, kiedy weszli do parku przez przerwę w kamiennym murze przy Piątej Alei. Nieźle, ale inaczej niż dziewczyna, którą była wtedy, gdy weszli do Klubu Pandemonium tamtej nocy, kiedy wszystko się zmieniło. Trochę urosła, ale nie tylko o to chodziło. Wyraz twarzy miała poważniejszy, więcej gracji i siły w sposobie poruszania się, zielone oczy były mniej roziskrzane, bardziej skupione. Zaczynała wyglądać coraz bardziej jak Jocelyn, uświadomił sobie z zaskoczeniem.

Zatrzymali się w kręgu mokrych drzew, których zwisające gałęzie dobrze chroniły przed deszczem. Obie dziewczyny oparły parasolki o najbliższe pnie. Clary zdjęła z szyi łańcuszek i zsunęła dzwoneczek na dłoń. Spojrzała po swoich towarzyszach z poważną miną.

– Istnieje ryzyko, ale jestem gotowa je podjąć – oznajmiła. – Nie cofnę się teraz. Więc jeśli ktoś z was nie chce ze mną iść, w porządku. Zrozumiem.

Simon nakrył ręką jej dłonie. Nie musiał się namyślać. Szedł wszędzie tam, gdzie szła Clary. Za dużo razem przeżyli, żeby teraz miało się coś zmienić. Isabelle poszła za jego przykładem, a na koniec Alec. Deszcz skapywał z jego długich rzęs jak łzy, ale wyraz twarzy pozostał zdecydowany. Wszyscy czworo mocno spleli ręce.

Clary zadzwoniła dzwoneczkiem.

Wrażenie, jakby świat zawirował, nie było takie samo jak przy przenoszeniu się przez Bramę, do serca wiru, ale bardziej takie, jakby siedziała na karuzeli, która obracała się coraz szybciej. Zakręciło się jej w głowie, gwałtownie zaczerpnęła tchu, ale uczucie nagle minęło, a ona ścisnęła dłonie Isabelle, Aleca i Simona.

Gdy rozłączyli ręce, Clary się rozejrzała. Już była tutaj wcześniej, w tym ciemnobrązowym, jaśniejącym korytarzu, który wyglądał jak wyciosany z kwarcowego tygrysięgo oka. Podłogę wygładziły stopy faerie, chodzących po nim przez tysiące lat. Światło pochodziło z błyszczących drobinek złota osadzonych w ścianach, na końcu tunelu znajdowała się wielobarwna kurtyna, która kołysała się w przód i w tył jak poruszana przez wiatr, choć pod ziemią nie było żadnego podmuchu. Kiedy Clary się do niej zbliżyła, zobaczyła, że zasłona jest utkana z motyli. Niektóre jeszcze żyły, a ich wysiłki sprawiały, że kurtyna trzepotała jak na silnej wichurze.

Clary przełknęła kwaśną gulę w gardle.

– Halo?! Jest tam kto?! – zawołała.

Zasłona odsunęła się na bok i w korytarzu pojawił się rycerz faerie Meliorn. Miał na sobie znajomą białą zbroję, ale teraz na jego lewej piersi widniał symbol; cztery C, które zdobiły również szaty Luke’a jako członka Rady. Jego twarz przecinała teraz nowa blizna, tuż pod oczami koloru liści. Meliorn zmierzył ją zimnym wzrokiem.

– Nie wita się królowej Jasnego Dworu barbarzyńskim ludzkim „halo”, jakbyś wołała sługę – skarcił ją. – Należy się zwracać: „co za szczęśliwe spotkanie”.

– Przecież jeszcze się nie spotkałyśmy – zauważyła Clary. – Nawet nie wiem, czy ona tu jest.

Meliorn popatrzył na nią surowo.

– Gdyby królowa nie była obecna i gotowa cię przyjąć, dzwonienie dzwoneczkiem nie sprowadziłoby cię tutaj. A teraz chodź za mną i weź ze sobą swoich towarzyszy.

Clary odwróciła się i skinęła na resztę, po czym ruszyła za Meliornem przez kurtynę z torturowanych motyli, kuląc plecy w nadziei, że nie dotkną jej ich skrzydełka.

Gdy weszli do komnaty królowej, Clary zamrugnęła ze zdziwieniem. Pomieszczenie wyglądało zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy ostatnio tu była. Władczyni póleżała na biało-złotej sofie, podłoga z naprzemiennie ułożonych białych i czarnych kwadratów wyglądała jak wielka szachownica. Z sufitu zwisały sznury najeżone groźnymi kolcami. Na każdy z nich był nabity błędny ognik. Ich normalnie oślepiające światło migotało, jakby umierały. Tylko ta poświata rozjaśniała pokój.

Meliorn stanął przy królowej. Oprócz niego w komnacie nie było innych dworzan. Władczyni usiadła powoli. Była piękna jak zawsze, w przezroczystej sukni w kolorze złota i srebra, z włosami barwy różowawej miedzi przerzuconymi przez jedno białe ramie. Clary zastanawiała się, po co władczyni zadała sobie trud. Z nich wszystkich tylko Simona mogła poruszyć jej uroda, a on jej nienawidził.

– Co za szczęśliwe spotkanie, Nefilim, Chodzący za Dnia – przemówiła królowa, skłaniając głowę w kierunku gości. – Córkę Valentine’a, co cię do mnie sprowadza?

Clary otworzyła dłoń. Dzwoneczek załsniał na niej jak oskarżenie.

– Twoja pokojówka mi powiedziała, żebym nim zadzwoniła, jeśli kiedyś będę potrzebować twojej pomocy.

– A ty oświadczyłaś, że niczego ode mnie nie chcesz – przypomniała władczyni. – Że masz wszystko, czego pragniesz.

Clary z rozpaczą wróciła myślami do tego, co powiedział Jace, kiedy w czasie poprzedniej audiencji u królowej schlebiał jej i ją czarował. Było wtedy tak, jakby raptem nauczył się całkiem nowego słownictwa. Zerknęła przez ramię na Isabelle i Aleca, ale Izzy tylko ze zniecierpliwieniem dała jej ręką znak, żeby mówiła dalej.

– Rzeczy się zmieniają – powiedziała Clary.

Królowa przeciągnęła się leniwie.

– Dobrze. Czego chcesz ode mnie?

– Chcę, żebyś znalazła Jace’a Lightwooda.

W ciszy, która zapadła po jej słowach, dał się słyszeć cichy głos agonii błędnych ogników.

W końcu władczyni przemówiła:

– Rzeczywiście musisz uważać faerie za potężnych, skoro sądzisz, że może się nam powieść tam, gdzie zawiodło Clave.

– Clave chce znaleźć Sebastiana. Mnie nie obchodzi Sebastian. Ja chcę Jace’a. Poza tym już wiem, że wiesz więcej, niż mówisz. Przewidziałaś, że to się stanie. Nikt inny tego się nie spodziewał, a nie sądzę, żebyś przysłała mi dzwoneczek akurat tej nocy, kiedy zniknął Jace, gdybyś nie wiedziała, że coś się szykuje.

– Może wiedziałam – przyznała królowa, podziwiając swoje błyszczące paznokcie.

– Zauważyłam, że faerie często mówią „może”, kiedy chcą ukryć jakąś prawdę – stwierdziła Clary. – Nie musicie wtedy udzielać prostej odpowiedzi.

– Być może – powiedziała królowa z rozbawionym uśmiechem.

– „Możliwe” to też dobre słowo – podsunął Alec.

– Albo „kto wie” – dodała Izzy.

– Nie widzę również nic złego w „prawdopodobnie” – stwierdził Simon. – Trochę przydługie, ale trafia w sedno.

Królowa machnęła ręką, jakby ich słowa były irytującymi muchami brzęczącymi wokół jej głowy.

– Nie ufam ci, córko Valentine’a – oświadczyła. – Był czas, że chciałam od ciebie przysługi, ale ten czas minął. Meliorn ma miejsce w Radzie. Nie jestem pewna, czy możesz mi coś więcej zaoferować.

– Gdybyś tak uważała, nigdy nie przysłałabyś mi dzwoneczka – zauważyła Clary.

Na chwilę ich spojrzenia się zwały. Królowa była piękna, ale coś w jej twarzy nasuwało Clary myśl o kościach małego zwierzątka bielejących na słońcu.

– Dobrze – rzekła w końcu królowa. – Może będę mogła ci pomóc. Ale chcę rekompensaty.

– A to niespodzianka – mruknął Simon. Trzymał ręce w kieszeniach i z nienawiścią patrzył na królową.

Alec się roześmiał.

Oczy królowej rozbłysły. Chwilę później chłopak z krzykiem zatoczył się do tyłu. Wyciągnął ręce przed siebie i z rozdziawionymi ustami patrzył, jak skóra na nich marszczy się, palce wyginają się do środka, stawy puchną. Jego plecy się zgarbiły, włosy zbieleły, niebieskie oczy wyblakły i zapadły się, otoczone głębokimi zmarszczkami. Clary głośno wciągnęła powietrze. Zamiast Aleca stał przed nimi drżący starzec, zgięty wpół i siwy.

– Jak szybko błędnie uroda śmiertelników – triumfująco stwierdziła królowa. – Spójrz na siebie, Alexandrze Lightwoodzie. Tak będziesz wyglądał za zaledwie kilkadziesiąt lat. Co wtedy powie o twojej urodzie twój kochanek czarownik?

Pierś Aleca unosiła się i opadała szybko. Isabelle podskoczyła do brata i wzięła go za rękę.

– To nic, Alec. To tylko czar. – Odwróciła się do królowej. – Zdejmij go z niego! Zdejmij go!

– Jeśli ty i cała reszta zaczniecie mówić do mnie z większym szacunkiem, może się nad tym zastanowię.

– Dobrze – pośpiesznie obiecała Clary. – Przepraszamy za wszelkie nieuprzejmości.

Królowa prychnęła.

– Tęsknię za twoim Jace'em – powiedziała. – Z was wszystkich on był najładniejszy i najlepiej wychowany.

– My też za nim tęsknimy – wyszeptała Clary. – Nie chcieliśmy być niegrzeczni. My, ludzie, potrafimy być uciążliwi dla innych, kiedy jesteśmy pogrążeni w smutku.

– Hm – mruknęła królowa, ale pstryknęła palcami. Gdy opadł czar, Alec, choć blady i oszołomiony, znowu był sobą. Władczyni posłała mu spojrzenie pełne wyższości i skierowała uwagę na Clary. – Istnieją dwa pierścienie, które należały kiedyś do mojego ojca. Pragnę ich zwrotu, bo są zrobione przez faerie i posiadają wielką moc. Pozwalają nam rozmawiać ze sobą bez słów, bezpośrednio umysł z umysłem, tak jak wasi Cisi Bracia. Mam dobre informacje, że obecnie znajdują się na wystawie w Instytucie.

– Pamiętam, że coś takiego widziałam – odezwała się Izzy. – Dwa pierścienie faerie w szklanej gablocie na drugim piętrze biblioteki.

– Chcesz, żebym coś ukradła z Instytutu? – spytała Clary zaskoczona. Ze wszystkich przysług, jakich mogła zażądać od niej królowa, tej nie było na liście.

– To nie kradzież, tylko zwrot przedmiotu prawowitemu właścicielowi – oświadczyła władczyni.

– A wtedy znajdziesz Jace'a? – spytała Clary. – I nie mów „może”. Co dokładnie zrobisz?

– Pomogę wam go znaleźć – obiecała królowa. – Daję słowo, że moja pomoc będzie nieoceniona.

Mogę wam, na przykład, wyjaśnić, dlaczego wszystkie wasze czary tropiące okazały się nieskuteczne. Mogę podpowiedzieć, w jakim mieście najprawdopodobniej można go znaleźć...

– Ale przecież Clave cię przesłuchiwało – przerwał jej Simon. – Jak im skłamałaś?

– Nie zadali właściwych pytań.

– Dlaczego ich okłamałaś? – spytała Isabelle. – Gdzie twoja lojalność?

– Nie mam zobowiązań wobec nikogo. Jonathan Morgenstern mógłby być potężnym sojusznikiem, gdybym nie uczyniła sobie z niego wroga. Po co mu szkodzić albo wzbudzać jego gniew bez żadnych korzyści dla siebie? Faerie są starym ludem. Nie podejmujemy pochopnych decyzji, tylko najpierw czekamy, w jakim kierunku powieje wiatr.

– Ale te pierścienie znaczą dla ciebie tyle, że jeśli je zdobędziemy, zaryzykujesz jego gniew? – zapytał Alec.

Królowa tylko się uśmiechnęła leniwym uśmiechem, pełnym obietnic.

– Myślę, że na dzisiaj wystarczy – stwierdziła. – Wróćcie do mnie z pierścieniami, to znowu porozmawiamy.

Clary spojrzała z wahaniem na Aleca, a potem na Isabelle.

– Zgadza się okraść Instytut?

– Jeśli to oznacza odnalezienie Jace'a – powiedziała Isabelle.

Alec kiwnął głową.

– Zrobię wszystko, co trzeba.

Clary odwróciła się z powrotem do królowej. Władczyni patrzyła na nią wyczekującym wzrokiem.

– Myślę, że mamy umowę.

Królowa przeciągnęła się i uśmiechnęła z zadowoleniem.

– Żegnajcie, mali Nocni Łowcy. I jeszcze słowo ostrzeżenia, choć nie zrobiliście nic, żeby na nie zasłużyć. Możecie równie dobrze zastanowić się nad sensem poszukiwania waszego przyjaciela. Bo często tak się zdarza z tym co cenne i utracone – kiedy go znajdziecie, może nie być taki sam jak wcześniej.

Dochodziła jedenasta, kiedy Alec znalazł się pod drzwiami apartamentu Magnusa na Greenpoincie. Isabelle namówiła go, żeby poszedł z nimi do Taki na kolację, i choć protestował, w końcu był zadowolony, że się zgodził. Potrzebował kilku godzin, żeby uspokoić emocje po tym, co się wydarzyło na Jasnym Dworze. Nie chciał, żeby Magnus zobaczył, jak bardzo wstrząsnął nim czar królowej.

Już nie musiał dzwonić i budzić Magnusa. Miał klucz, z czego był w skrytości ducha dumny. Otworzył drzwi i ruszył na górę. Choć nigdy nie widział mieszkańców loftu na pierwszym piętrze, wydawało się, że łączy ich burzliwy romans. Kiedyś na całym podeście leżały czyjeś rzeczy z liścikiem przyczepionym do klapy marynarki, adresowanym do „Kłamliwego kłamcy, który tylko kłamie”. Teraz do drzwi był przymocowany bukiet kwiatów z karteczką wetkniętą między płatki: „Przepraszam”. Tak to się działo w Nowym Jorku. Człowiek zawsze wiedział więcej o sprawach sąsiadów, niżby chciał.

Drzwi Magnusa zaskrzypiały cicho przy otwieraniu, do holu napłynęły ciche dźwięki muzyki. Dzisiaj to był Czajkowski. Gdy Alec znalazł się w mieszkaniu, spłynęło na niego odprężenie. Nigdy nie miał pewności, co zastanie w środku. Teraz było minimalistycznie: białe kanapy, czerwone stoliki i surowe czarno-białe fotografie Paryża na ścianach. Ale zaczynał się tu czuć jak u siebie, coraz bardziej swobodnie. Pachniało rzeczami kojarzącymi się z Magnusem: atramentem, wodą kolońską, herbatą Lapsang souchong, magią o woni palonego cukru. Alec wziął na ręce Prezesa Miau, który drzemał na parapecie, i ruszył do gabinetu.

Magnus podniósł wzrok. Miał na sobie strój jak na niego całkiem zwyczajny: dżinsy i czarną bawełnianą koszulkę z nitami wokół kołnierzyka i mankietów. Jego czarne włosy były przyklapnięte i potargane, jakby wiele razy w desperacji przeczesał je palcami, a powieki kocich oczu ciężkie ze zmęczenia. Na widok Aleca opuścił pióro i uśmiechnął się szeroko.

– Prezes cię lubi.

– Lubi każdego, kto drapie go za uszami – odparł Alec. Mruczenie drzemiącego kota rozchodziło się po jego piersi.

Magnus odchylił się na oparcie fotela i ziewnął. Mięśnie jego ramion się rozluźniły. Stół był zasłany papierami pokrytymi drobnym, ścisłym pismem i rysunkami. Powtarzał się na nich ten sam wzór: wariacje motywu widniejącego na dachu, z którego zniknął Jace.

– Jak królowa Jasnego Dworu?

– Taka sama jak zawsze.

– Wściekła jęcza?

– Tak jakby. – Alec przekazał Magnusowi skróconą wersję audiencji na dworze królowej faerie. Był w tym dobry; w skracaniu opowieści, tak żeby nie marnować ani jednego słowa. Nigdy nie rozumiał ludzi, którzy paplali bez przerwy, ani nawet zamięłowania Jace’a do zbyt skomplikowanej

gry słów.

– Martwię się o Clary – wyznał Magnus. – Martwię się, że bierze za dużo na swoją małą rudą głowę.

Alec położył Prezesa na stole. Kot szybko zwinął się w kłębek i wrócił do drzemki.

– Ona chce znaleźć Jace’a. Dziwisz się jej?

Oczy Magnusa złagodniały. Wsadził palce za pasek dżinsów Aleca i przyciągnął go do siebie.

– Mówisz, że ty zrobiłbyś dla mnie to samo?

Alec odwrócił głowę i spojrzał na papiery, które Magnus odsunął na bok.

– Znowu nad tym ślęczysz?

Magnus puścił go, lekko rozczarowany.

– Musi istnieć jakiś klucz – stwierdził. – Jakiś język. Jeszcze się temu nie przyjrzałem. To coś starożytnego, bardzo mrocznego. Nigdy czegoś takiego nie widziałem. – Znowu spojrzał na kartki, przekrzywiając głowę. – Możesz podać mi tabakierę. Tamto srebrne pudełko.

Alec podążył wzrokiem za palcem Magnusa i na drugim końcu dużego drewnianego stołu zobaczył małą srebrną szkatułkę. Wziął ją do ręki. Było to coś w rodzaju miniaturowej metalowej skrzyneczki osadzonej na małych nóżkach, z wygiętym wieczkiem i diamentowymi inicjałami W.S.

W. Jak Will?

Will, odpowiedział Magnus, gdy Alec zapytał go o imię, które kiedyś wymieniła Camille. Dobry Boże, to było tak dawno temu.

Alec przygryzł wargę.

– Co to jest?

– Tabakiera – odparł Magnus, nie podnosząc wzroku znad papierów. – Mówiłem ci.

– Tak? – Alec przyglądał się pudełku.

Magnus spojrzał na niego i się roześmiał.

– W siedemnastym, osiemnastym wieku tabaka była bardzo popularna. Teraz używam pudełka, żeby trzymać w nim różne drobiazgi.

Wyciągnął rękę, a Alec podał mu szkatułkę.

– Zastanawiałeś się kiedyś... – zaczął. – Nie niepokoi cię, że Camille gdzieś tam jest? Że uciekła? – „I że to była moja wina”, pomyślał, ale nie powiedział tego na głos. Magnus nie musiał znać takich szczegółów.

– Zawsze gdzieś tam była – odparł Magnus. – Wiem, że Clave nie jest zbyt zadowolone, ale przywykłem do wyobrażania sobie, że ona gdzieś tam sobie żyje, nie kontaktując się ze mną. Jeśli kiedykolwiek mnie to niepokoiło, nie trwało to długo.

– Ale ją kochałeś. Kiedyś.

Magnus przesunął palcami po diamentowych inicjałach.

– Myślałem, że kocham.

– A ona nadal cię kocha.

– Nie sądzę – rzekł sucho Magnus. – Nie była zbyt zadowolona, kiedy ostatnim razem ją widziałem. Oczywiście mogło być tak dlatego, że mam osiemnastoletniego chłopaka ze Znakiem wytrzymałości, a ona nie.

Alec prychnął.

– Jako osoba uprzedmiotowiona, sprzeciwiam się takiemu opisowi.

– Ona zawsze była zazdrosna. – Magnus uśmiechnął się szeroko.

Zawsze potrafił zmienić temat. Kiedyś wyraźnie dał do zrozumienia, że nie lubi rozmawiać o swoim dawnym życiu miłosnym. I jakoś w trakcie tej rozmowy Aleca opuściło poczucie, że jest

u siebie. Nieważne, jak wyglądał młody Magnus – a teraz, bosi, ze sterczącymi włosami, mógłby mieć osiemnaście lat – dzielił ich nieprzebyty ocean czasu.

Magnus otworzył szkatułkę, wyjął z niej kilka pinezek i przymocował nimi do stołu stos kartek, które przeglądał. Kiedy podniósł wzrok i zobaczył minę Aleca, przyjrzał mu się uważniej.

– Dobrze się czujesz?

Zamiast odpowiedzieć, Alec ujął jego dłonie. Magnus pozwolił dźwignąć się z fotela z pytającym wyrazem w oczach. Alec bez słowa przyciągnął go do siebie i pocałował. Magnus wydał z siebie cichy pomruk zadowolenia i wsunął mu dłonie pod koszulę. Jego palce były zimne. Alec naparł na niego ciałem, przyciskając go do stołu. Magnus wyraźnie nie miał nic przeciwko temu.

– Chodź – szepnął mu Alec do ucha. – Już późno. Chodźmy do łóżka.

Magnus przygryzł wargę i zerknął przez ramię na papiery rozłożone na stole. Wpatrywał się w starożytne sylaby zapomnianego języka.

– Może pójdziesz pierwszy? – zaproponował. – Dołączę do ciebie za... pięć minut.

– Jasne. – Alec wyprostował się, wiedząc, że kiedy Magnus pograży się w studiach, pięć minut łatwo może się zmienić w pięć godzin. – Zobaczmy się w sypialni.

– Cii. – Clary przyłożyła palec do ust i skinęła na Simona, żeby pierwszy wszedł do domu Luke'a.

Wszystkie światła były zgaszone, salon pusty i ciemny. Clary dała Simonowi znak, żeby udał się do jej pokoju, a sama ruszyła do kuchni po szklankę wody. W połowie drogi zamarła.

W holu rozbrzmiewał głos matki. Clary słyszała w nim napięcie. Tak jak utrata Jace'a była dla niej największym koszmarem, matka też przeżywała swoje najgorsze chwile. Świadomość, że jej syn żyje gdzieś tam w świecie, zdolny do wszystkiego, zżerała jej duszę od środka.

– Ale ją oczyścili, Jocelyn – dobiegła odpowiedź Luke'a. – Nie będzie żadnej kary.

– To wszystko moja wina. – Głos Jocelyn był stłumiony, jakby matka ukrywała twarz na ramieniu Luke'a. – Gdybym nie sprowadziła tej... istoty na świat, Clary nie przechodziłaby teraz przez to wszystko.

– Nie mogłaś wiedzieć... – Głos Luke'a przeszedł w szept.

Clary nagle ogarnął irracjonalny gniew na matkę, zmieszany z poczuciem winy. Jocelyn powinna była zabić Sebastiana w kołysce, zanim dorósł i zniszczył im wszystkie życie, pomyślała.

I przerażona tą myślą pośpiesznie czmychnęła w drugi koniec domu do swojej sypialni i zamknęła za sobą drzwi, jakby ktoś ją ścigał.

Simon, który siedział na łóżku i grał na swoim Nintendo, spojrział na nią zaskoczony.

– Wszystko w porządku?

Próbowała się do niego uśmiechnąć. Stanowił znajomy widok w tym pokoju. Kiedy dorastali, często spędzali razem noce w domu Luke'a. Ona zrobiła wszystko, żeby urządzać się tutaj jak u siebie. Do ramy lustra nad komodą przyczepiła zdjęcia swoje i Simona, swoje z Lightwoodami, z Jace'em, z rodziną. Luke podarował jej deskę kreślarską, obok leżały porządnie ułożone w przegródkach przybory do malowania. Zgromadziła również plakaty swoich ulubionych anime: „Fullmetal Alchemist”, „Rurouni Kenshin” i „Bleach”.

W pokoju znajdowały się też rozrzucone świadectwa jej życia Nocnego Łowcy: gruby egzemplarz Kodeksu z notatkami i rysunkami na marginesach, półka z książkami na temat okultyzmu i zjawisk paranormalnych, na biurku stela i nowy globus od Luke'a, z Idrisem pośrodku Europy, z zaznaczonymi na złoto granicami.

A Simon siedzący na łóżku ze skrzyżowanymi nogami należał zarówno do jej starego, jak i nowego życia. Patrzył na nią ciemnymi oczami odcinającymi się od bladej twarzy. Znak Kaina był wyraźnie widoczny na jego czole.

– Moja mama – powiedziała Clary, opierając się o drzwi. – Nie jest z nią dobrze.

– Nie czuje ulgi, że zostałaś oczyszczona?

– Nie może przestać myśleć o Sebastianie. Nie może przestać się obwiniać.

– To nie była jej wina, że taki się okazał. To wina Valentine’a.

Clary nic nie odpowiedziała. Przypomniała się jej okropna myśl, że matka powinna była zabić Sebastiana, kiedy się urodził.

– Obie obwiniacie się o rzeczy, na które nie miałyście wpływu – stwierdził Simon. – Ty obwiniasz się, że zostawiłaś Jace’a na dachu...

Clary gwałtownie podniosła głowę i spojrzała na niego ostro. Nie pamiętała, żeby kiedykolwiek powiedziała to na głos, chociaż rzeczywiście tak było.

– Ja nigdy...

– Owszem. Ale ja też go zostawiłem, Izzy go zostawiła, Alec go zostawił, choć jest jego *parabatai*. Nie mogliśmy wiedzieć. Mogło być jeszcze gorzej, gdybyś z nim została.

– Może.

Clary nie chciała o tym rozmawiać. Unikając wzroku Simona, poszła do łazienki, żeby umyć zęby i włożyć piżamę. Starła się nie patrzeć na siebie w lustrze. Nie podobało się jej, że jest taka blada, że ma cienie pod oczami. Była silna; nie zamierzała się poddać. Miała plan. Nawet jeśli był trochę szalony i wymagał obrabowania Instytutu.

Wyszorowała zęby i wyszła z łazienki, związując włosy w koński ogon. Zobaczyła, że Simon chowa do torby butelkę, zapewne krwi, którą kupił w Taki.

Podeszła do niego i zmierzwiła mu włosy.

– Możesz trzymać butelki w lodówce, przecież wiesz. Nie lubisz krwi w temperaturze pokojowej.

– Lodowata krew jest gorsza niż ta o temperaturze pokojowej. Ciepła jest najlepsza, ale myślę, że twoja mama nie byłaby zadowolona, gdybym podgrzewał ją sobie w garnkach.

– A Jordana to obchodzi? – spytała Clary, zastanawiając się, czy Jordan w ogóle jeszcze pamięta, że Simon z nim mieszka.

Przez cały miniony tydzień Simon wszystkie noce spędzał u niej. Przez kilka pierwszych dni po zniknięciu Jace’a nie mogła spać. Przykrywała się pięcioma kocami, ale nie była w stanie się rozgrzać. Trzęsąc się, leżała bezsennie i wyobrażała sobie, że jej żyły zatykają się od zamrożonej krwi, a lodowe kryształki lśniąca siecią oplatają serce. Jej sny były pełne czarnych mórz, kry, jezior skutych lodem i Jace’a o twarzy ukrytej przed jej wzrokiem przez cienie, obłoki pary z oddechu albo jego własne lśniące włosy, kiedy odwracał się od niej. Zasypiała na kilka minut i zawsze budziła się z mdlącym uczuciem tonięcia.

Pierwszego dnia po przesłuchaniu przez Radę wróciła do domu i wpełzła do łóżka. Leżała rozbudzona, aż rozległo się pukanie do okna i po chwili do pokoju wkradł się Simon, niemal waląc się przy tym na podłogę. Bez słowa wyciągnął się obok niej na łóżku. Jego skóra była zimna, pachniała miejskim powietrzem i nadciągającym zimowym chłodem.

Dotknęła wtedy ramieniem jego ramienia i część napięcia, które ścisnęło jej ciało jak pięść, zelżała. Jego ręka była zimna, ale znajoma, podobnie jak faktura sztruksowej kurtki.

– Jak długo możesz zostać? – wyszeptwała w ciemność.

– Tak długo, jak zechcesz.

Odwróciła się na bok i spojrzała na przyjaciela.

– Izzy nie będzie miała nic przeciwko temu?

– To ona kazała mi tu przyjść. Powiedziała, że nie możesz spać, więc jeśli poczujesz się lepiej, mając mnie przy sobie, mogę zostać. Albo mogę zostać, dopóki nie zaśniesz.

Clary odetchnęła z ulgą.

– Zostań całą noc – powiedziała. – Proszę.

Został. Tamtej nocy nie miała złych snów.

Póki leżał przy niej, nic jej się nie śniło. Sen był jak pusty, ciemny ocean nicości. Bezbolesnego zapomnienia.

– Jordana nie obchodzi krew – powiedział Simon. – Interesuje go tylko to, żebym się dobrze czuł w swojej skórze. Komunikował się ze swoim wewnętrznym wampirem, ple, ple, ple.

Clary wsunęła się obok niego do łóżka i objęła poduszkę.

– Czy twój wewnętrzny wampir różni się od... zewnętrznego?

– Zdecydowanie. Chce, żebym nosił koszule rozpięte do pępka i fedorę. Walczę z tym.

Clary uśmiechnęła się słabo.

– Więc twój wewnętrzny wampir jest Magnusem?

– Zaczekaj, bo coś mi się przypomniało. – Simon pogrzebał w swojej torbie i wyjął z niej dwa zeszyty mangi. Triumfalnie zamachał nimi w powietrzu i podał je Clary. – „Magical Love Gentleman”, tom piętnasty i szesnasty. Wyprzedane wszędzie z wyjątkiem Midtown Comics.

Clary wzięła egzemplarze do ręki i spojrzała na kolorowe okładki. Kiedyś wyrzuciłaby ręce w górę w pokazie dziewczęcej radości. Teraz zdołała jedynie uśmiechnąć się do Simona i mu podziękować, ale upomniała się w duchu, że zrobił to dla niej, jako dobry przyjaciel. Nawet jeśli w tej chwili nie potrafiła sobie wyobrazić, że mogłaby przeczytać je dla rozrywki.

– Jesteś boski – powiedziała, trącając go ramieniem. Leżała oparta o poduszki, z komiksami na kolanach. – I dzięki za to, że poszedłeś ze mną na Jasny Dwór. Wiem, że to przywołało paskudne wspomnienia, ale... zawsze czuję się lepiej, kiedy jesteś przy mnie.

– Spisałaś się super. Poradziłaś sobie z królową jak profesjonalistka. – Simon leżał obok niej, tak że ich ramiona się stykały, oboje patrzyli w sufit, na znajome pęknięcia, na stare fosforyzujące gwiazdy, które już od dawna nie świeciły w ciemności. – Więc zamierzasz to zrobić? Ukraść pierścionie dla królowej?

– Tak. – Clary wypuściła powietrze z płuc. – Jutro. W południe jest zebranie miejscowego Clave. Wszyscy na nim będą. Wtedy wejdem.

– Nie podoba mi się to, Clary.

Jej mięśnie się napięły.

– Co ci się nie podoba?

– Że zadajesz się z faerie. Faerie to kłamcy.

– One nie potrafią kłamać.

– Wiesz, co mam na myśli. „Faerie to manipulanci” brzmi słabo.

Odwróciła głowę i spojrzała na przyjaciela, opierając mu brodę na obojczyku. Simon objął ją ramieniem i przyciągnął do siebie. Jego ciało było zimne, koszula nadal wilgotna od deszczu. Zwykle proste włosy skręciły się w loczki od wilgoci.

– Uwierz, wcale mi się nie podoba zadawanie z Dworem – powiedziała. – Ale zrobiłabym to dla ciebie. A ty zrobiłbyś to dla mnie, prawda?

– Oczywiście, że tak. Ale mimo wszystko to zły pomysł. – Simon spojrzał na nią z ukosa. – Wiem, jak się czujesz. Kiedy mój ojciec umarł...

Clary stężała.

– Jace żyje.

– Wiem. Nie to miałem na myśli. Ja tylko... Nie musisz mówić, że jest ci lepiej, kiedy jestem przy tobie. Zawsze jestem przy tobie. Smutek sprawia, że czujesz się samotnie, ale nie jesteś samotna. Wiem, że nie wierzysz – chodzi mi o religię – ale możesz być pewna, że otaczają cię ludzie, którzy cię kochają, prawda? – Jego oczy były duże, pełne nadziei. Tak samo ciemne jak zawsze, ale jakby dodano do nich jeszcze jedną warstwę koloru, podobnie jak jego skóra wydawała się przezroczysta i pozbawiona porów.

Wierzę, pomyślała. Tylko nie jestem pewna, czy to ma znaczenie. Lekko trąciła łokciem jego ramię.

– Więc nie masz nic przeciwko temu, żebym cię o coś zapytała? To osobista sprawa, ale bardzo ważna.

– O co chodzi? – Do głosu Simona wkradła się nuta ostrożności.

– O tę całą historię ze Znakiem Kaina. Czy to znaczy, że jeśli przypadkiem kopnę cię w nocy, niewidzialna siła kopnie mnie w goleń siedem razy?

Poczuła, że Simon się śmieje.

Ciąg dalszy w wersji pełnej

3

Złe anioły

Dostępne w wersji pełnej

4

I nieśmiertelność

Dostępne w wersji pełnej

5

Syn Valentine'a

Dostępne w wersji pełnej

6

Żadnej broni w tym świecie

Dostępne w wersji pełnej

7

Zmiana morza

Dostępne w wersji pełnej

Część druga
Jakieś mroczne rzeczy

8

Próba złota jest ogień

Dostępne w wersji pełnej

9

Żelazne Siostry

Dostępne w wersji pełnej

10

Dziki Polowanie

Dostępne w wersji pełnej

11

Przypisać wszystkie grzechy

Dostępne w wersji pełnej

12

Niebo

Dostępne w wersji pełnej

13

Żyrandol z kości

Dostępne w wersji pełnej

14

Jak popioły

Dostępne w wersji pełnej

15

Magdalena

Dostępne w wersji pełnej

16

Bracia i siostry

Dostępne w wersji pełnej

17

Pożegnanie

Dostępne w wersji pełnej

Część trzecia
Wszyscy się zmienili

18

Razjel

Dostępne w wersji pełnej

19

Miłość i krew

Dostępne w wersji pełnej

20

Drzwi do ciemności

Dostępne w wersji pełnej

21

Wywołać piekło

Dostępne w wersji pełnej

Epilog

Dostępne w wersji pełnej

Uwagi

Dostępne w wersji pełnej

Podziękowania

Dostępne w wersji pełnej

Miasto zagubionych dusz

Spis treści

Prolog

Część pierwsza Żadnego złego anioła

4 I nieśmiertelność

6 Żadnej broni w tym świecie

7 Zmiana morza

Część druga Jakież mroczne rzeczy

8 Próba złota jest ogień

11 Przypisać wszystkie grzechy

17 Pożegnanie

Część trzecia Wszyscy się zmienili

[Podziękowania](#)

Tytuł oryginału:
City of Lost Souls. The Mortal Instruments – Book Five

Copyright © 2012 by Cassandra Clare

Copyright for the Polish translation
© 2012 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:
Urszula Okrzeja

Korekta:
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:
Damian Bajowski

Projekt i opracowanie graficzne okładki:
Irek Konior

ISBN 978-83-7480-284-0
Wydanie II

Wydawca:
Wydawnictwo MAG
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa
tel./fax 22 813 47 43
e-mail: kurz@mag.com.pl
<http://www.mag.com.pl>



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa
e-mail: kontakt@elib.pl
www.eLib.pl

Pełną wersję tej książki znajdziesz w sklepie internetowym ksiazki.pl pod adresem:
http://ksiazki.pl/index.php?eID=evo_data&action=redirect&code=8e7089a6198